

UROCZYSKO



**BRENNA NATION**

**UROCZYŃSKO**

**PRZEŁOŻYŁA:  
PAULINA BRAITER**





*Dla ciebie, moja Czytelniczko, mój Czytelniku.  
Zasługujesz na to, by opowiedzieć swoją historię.*

Tytuł oryginału: *The Shattered Lands*

Copyright © Brenna Nation, 2023

First published as *The Shattered Lands* in 2023 by Puffin Books, an imprint of Penguin Random House Children's. Penguin Random House Children's is part of the Penguin Random House group of companies.

Cover illustration copyright © Kii W, 2023

Copyright for the translation © by Paulina Braiter

Opracowanie graficzne polskiej okładki: Magdalena Zawadzka/Aureusart

Redakcja: Joanna Czarkowska

Korekta: Renata Kuk, Justyna Charęza (tree high adiujuje)

Skład i łamanie: Robert Majcher

Copyright for the Polish edition © 2023 by Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

Wyrażamy zgodę na wykorzystanie okładki w Internecie.

ISBN 978-83-8266-318-1

Wydanie pierwsze, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2023

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.

ul. Ludwika Mierosławskiego 11a

01-527 Warszawa

[www.wydawnictwo-jaguar.pl](http://www.wydawnictwo-jaguar.pl)

[instagram.com/wydawnictwojaguar](https://www.instagram.com/wydawnictwojaguar)

[facebook.com/wydawnictwojaguar](https://www.facebook.com/wydawnictwojaguar)

[tiktok.com/@wydawnictwojaguar](https://www.tiktok.com/@wydawnictwojaguar)

[twitter.com/WydJaguar](https://twitter.com/WydJaguar)

Druk i oprawa: Abedik

Wydrukowano na papierze CHB 60/2,4, dostarczonym przez **ZING** Sp. z o.o.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Święci nie chcieli już słuchać ich błagań o litość.

Sapphire była tego pewna i myśl ta dodawała jej sił, gdy jeszcze mocniej ścisnęła rękę sztyletu. Dom nie mógł sobie pozwolić na to, by kolejnej nocy wróciła z pustymi rękami. Ustawiając się pod wielkim drzewem, zerknęła w niebo – podobnie jak od księżyca, miało kolor ciemnej szarości, lecz teraz wydawało się ciemniejsze... wręcz złowrogie.

Wiedziała, że jeszcze bardziej utrudni jej to łowy.

Z powrotem naciągnęła na ramię rękaw źle dopasowanej tuniki i ciasniej owinęła się płaszczem. Z jej prawej strony wychudzona wieświórka zaszeleściła liśćmi, próbując wkopać się w wilgotną ziemię. Szukała ochłapów tak samo jak ona. Ze sztyletem w dłoni Sapphire skupiła wzrok i bezdźwięcznie wypowiedziała modlitwę głupca do Świętych, licząc, że choć raz wysłuchają jej prośby.

Sztylet przebił brzuch stworzonka, które wydało z siebie rozpaczliwy wrzask. Sapphire wątpiła, czy kiedykolwiek przywyknie do odbierania życia, ale na jałowych ziemiach nie ma miejsca na litość. Zebrała ofiarę i ruszyła ku granicy lasu.

Kiedy weszła do Domu, wyczuła, że coś się zmieniło. Nikt nie powitał jej przy drzwiach, a zatęchłą woń, do której przywykła, zastąpiło coś lepkiego, coś tak słodkiego, że żołądek ścisnął jej się boleśnie.

Zapach nie pasował do odrapanych, nieszczelnych ścian budynku. Kiedy zsunęła z siebie płaszcz, nikt nie pospieszył jej z pomocą. Nie usłyszała pomruku głosów.

Coś było nie tak.

Wbiła kciuk we wnętrze dłoni, przesuwając wzdłuż przecinającej ją cienkiej, poszarpanej blizny. Kiedy ruszyła dalej w głąb korytarza, zauważyła maleńkie, migotliwe światełko pośrodku zaimprovizowanej jadalni.

Ostrożnie wsunęła głowę przez drzwi i westchnęła z ulgą na widok uśmiechniętych twarzy.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Na stole pośrodku pomieszczenia czekał niewielki tort. Od mięsiący musiały oszczędzać racje, żeby móc go upiec.

– Ja... to zupełnie niepotrzebne – wyjąkała Sapphire.

W jej głowie pojawiły się natrętne, nieproszone, niestępliwie obrazy. Obecnie uśmiechnięte twarze widziała wykrzywione z bólu. Ich ciała zgarbione, skulone w sobie, gdy wstrząsały nimi spazmy głodu. Te racje były warte więcej niż jakiś durny tort. Warte więcej niż ona. Miała ochotę się rozplakać – i krzyżeć – że tylko ona dostrzega prawdę. Martia powinna być mądrzejsza.

– To twoje osiemnaste urodziny. Owszem, to jest potrzebne – głos Martii zabrzmiał ostro, Sapphire ugryzła się w język, by przełknąć wzbierającą w niej gorycz. – Uznaj to za wyraz wdzięczności za... – w pokoju zapadła ciężka cisza, gdy Martia zaczęła się rozglądać. W końcu skupiła wzrok na wciśniętym do torby zwierzątku – za to, że przyniosłaś kolację.

Sapphire odpowiedziała słabym uśmiechem, wiedząc, że powinna być wdzięczna – ale słowa, które chciała wypowiedzieć na temat tego, jak niemądrze i krótkowzrocznie się zachowały, wypełniły jej usta niczym popiół. Mimo to, gdy jej wzrok odszukał Lynę, poczuła się odrobinę spokojniejsza. Twarz jedenastoletki jaśniała podnieceniem, od lat nie widziała na niej podobnej radości.

To mogło być warte zmarnowanych racji.



Kiedy Sapphire dostała swój kawałek tortu, wykorzystując chwilę nieuwagi Martii szybko oddała go Lynie i Susannie. Pełny przeciągów pokój zdawał się cieplejszy, gdy bliźniaczki uściskały ją mocno, a potem umknęły z dodatkową porcją.

Sapphire miała już osiemnaście lat, była w wieku, w którym Martia wyrzuciła wiele jej poprzedniczek w szeroki świat. Ich łóżka dostały dzieci, które nie mogły same się bronić przed okrucieństwem Witroteanu. Sapphire zawsze wiedziała, że w krainie roi się od sierot; Dom był jednym z nielicznych miejsc, w których te dzieci mogły znaleźć schronienie.

Lecz kierując się desperacją, Martia zawarła z nią rzadki układ. Łóżko w zamian za mięso. Łóżko w zamian za pożywienie. Łóżko w zamian za wszelkie jadalne ochłapy, które znajdzie na tych opuszczonych przez bogów równinach. Sapphire miała zapewniać Domowi utrzymanie w sposób, do którego Martia nie była już zdolna ze względu na swój wiek. Dom jej potrzebował, obie kobiety o tym wiedziały. Ale nie da się powiedzieć, jak długo. Nikt nie miał już gwarancji łóżka czy domu w Witroteanie. Odepchnęła krzesło i wstała od stołu, biegnąc do łazienki, by rozładować narastające w piersi napięcie.

Tam zapatrzyła się w swoje odbicie – wynędzniałe i znużone. Z braku słońca, ukrytego za ciężkimi chmurami, zasnuwającymi stale niebo Witroteanu, jej brązowa skóra nabrała niezdrowego odcienia. Pod mahoniowymi oczami zadomowiły się głębokie sińce. Długie, gęste włosy spletały się po wielu godzinach spędzonych w bezlitosnym, wietrznym lesie. Twarz miała wychudzoną – efekt panującego głodu i nocy, podczas których nie zaznała spokoju – zbyt wysuszoną i zmęczoną jak na kogoś tak młodego.

Przez następne godziny oprawiała dzisiejszą zdobycz. Małe zwierzątko miało ledwie dość mięsa, by wysiłek się opłacił, ale lepsze to niż nic. Potem Sapphire sprzątnęła kuchnię – była gotowa robić wszystko, byle tylko oderwać umysł od dręczących ją myśli.

Później tej nocy Martia znalazła ją stojącą przy oknie i podała jej dodatkowy koc.

– Dostałam już dziś aż nadto – zaprotestowała rozsądnie Sapphire, ale tamta pokręciła głową.

– Przyjmiesz dar mojej życzliwości, dziecko. – Zdecydowanym gestem wcisnęła jej koc. – A teraz do łóżka! Przed północą trzeba zdmuchnąć świece. Wiesz przecież.

Sapphire przyjęła koc i posłuchała.

Wiedziała, że nie zasłużyła na podobną życzliwość. Posiłek, który dostarczyła tego wieczoru, ledwie wystarczał. Po minie Marti wiedziała, że jest o krok od porażki. A przecież nikt inny nie dał im więcej.

Podchodząc do łóżka, odkryła, że coś nie pasuje. Na cienkim materacu piętrzył się niewielki stosik przedmiotów, których nie rozpoznała. Gdy go podniosła, przekonała się, że to mieszanka węgla i słoik czerwonej farby – prezent od dziewcząt, które spały dookoła. Z jej oczu popłynęły łzy, gorące i ciężkie od poczucia winy.

Kiedy nie mogła dłużej znieść ciężaru wyrzutów sumienia, podeszła do miejsca, gdzie spały Lyna i Susanna. Była zima, sfatygowane ściany domu dawały niewielką osłonę przed mrozem. Sapphire nakryła dużym kocem śpiące dziewczynki. Lyna zamruczała z zadowolenia.

– Mam nadzieję, że to były najlepsze urodziny, Sapph.

Sapphire pochyliła się, przycisnęła wargi kolejno do czoła każdej z nich i wysłuchiwała cichych podziękowań, a potem wróciła do własnego łóżka.

Westchnęła, obracając się na wąskiej, niewygodnej pryczy, wzbierały w niej gniew i rozpacz; przygniatało ją spoczywające na jej barkach brzemień głodu pozostałych. Dźwigała je, odkąd dwa lata temu na ich próg przybyła wojna. Wspomnienie to wciąż tkwiło żywe w jej myślach – Matki zamykające je w ukrytych pokojach, gdy Bestie wyłamały drzwi i zaczęło się zabijanie.

Martia była jedyną z Matek, która przeżyła.

Przyszła do Sapphire w dzień po Upadku i chwyciła ją pomarszczoną dłonią za brodę.

– Do osiągnięcia dojrzałości zostało ci kilka lat. Wyrzucałam już stąd znacznie bardziej użyteczne dziewczęta w twoim wieku, ale – dodała i Sapphire wyraźniej niż kiedykolwiek ujrzała, jak bardzo jest znużona – złożę ci propozycję. Wyszkołę cię, nauczę władać klingą, będziesz zdobywać strawę dla nas wszystkich i możesz tu zostać.

I tak się zaczęło.

Następne tygodnie minęły pod znakiem potu i łez. Uczyla się posługiwać sztyletem, jej palce pokrywały cieniutkie skaleczenia, gęste niczym koronka rękawiczek, ale nie chciała się poddać. Sapphire wiedziała, że nie jest gotowa, gdy Martia wysłała ją do lasu, lecz desperacja przepełniająca Dom niemal odbierała dech. Odtąd brzemień powstrzymania powolnego marszu śmierci z głodu spoczęło na jej ramionach.

Na to wspomnienie wbiła paznokiec w bliznę. Nagle przepełniła ją potężna fala pretensji, równie znajomych jak wyświechtany skrawek materiału, którym owinęła się ciaśniej, czując, jak wilgotny ziab pomieszczenia osiada jej w kościach.

I to wtedy usłyszała dźwięk dzwonów sygnalizujący nadejście północy. Ostrzeżenie dla wszystkich, którzy po zmroku pozostali na zewnątrz, by wrócili do domów i zaryglowali drzwi.

Bestie ruszyły na łowy.

Wraz z dwunastym uderzeniem dzwonu Sapphire w końcu przyjęła do wiadomości jeszcze jedną rzecz, którą oznaczało.

Jej urodziny.

Głęboki wdech. Głęboki wydech. Zaciśnęła powieki, nakazując umysłowi, by się wyciszył.

A potem świat zniknął.

Na litość, tylko nie kolejna wizja...

Scena, którą ujrzała, wyglądała znajomo. Zbyt znajomo. Niemal powalona wierzba, w połowie optymistycznie sięgająca ku niebu, w połowie rozszczępiona i strzaskana, a obok dziewczyna, której Sapphire nigdy nie mogła dosięgnąć. Było ciemno, świat spowijały przerażające

czeniu, lecz jak zawsze szkarłatne włosy dziewczyny przyciągały wzrok, niczym światło przewodnie w sercu burzy.

Sapphire wpatrywała się zaledwie chwilę, a potem powoli ruszyła naprzód.

Odetchnęła głęboko, gdy ścieżka ustąpiła miejsca wysokiej trawie; każde źdźbło ocierało się o jej skórę. Wystarczyło lekkie munięcie w plecy, by pojęła, że nie jest sama. Coś w pobliżu przyglądało się jej. Przyglądało i czekało. Serce zabiło jej szybciej, gdy w ciele zapłonęła iskra strachu. W tych wizjach to ona zawsze była obserwatorką. Nigdy nikt jej nie dostrzegał, nie widział.

Postąpiła kolejny krok naprzód i w końcu ujrzała falujący rąbek czarnej sukni dziewczyny. Przystanęła jak zawsze, czekając, aż zabrzmie grzmot. Na ów znajomy dźwięk poczuła, jak ramiona rozluźniają jej się lekko. Wiedziała, co będzie dalej. Czekala, aż błyskawica rozedrze niebo, trafi w dziewczynę i pozbawi ją życia.

Wówczas Sapphire zostanie sama. A potem obudzi się zlanym potem i przez resztę nocy będzie wbijać wzrok w małe okienko sypialni.

Zawsze wyglądało to tak samo.

Ale dziś dziewczyna przemówiła i jej głos zabrzmiał jak pieśń syreny.

– Pomóż mi.

Sapphire zamarła, groza przygwoździła ją do ziemi.

– Pomóż mi, Sapphire.

Za drugim razem głos zabrzmiał bardziej szorstko: nie prosił już, lecz żądał i Sapphire ogarnął jeszcze większy strach. Mimo to czuła dziwne przyciąganie. Pozwoliła, by napięcie popchnęło ją naprzód.

Niebo w górze zaczęło się obracać, nadciągała burza. Sapphire zawała się, rozbieganymi oczami ogarniając całą scenę.

Dziewczyna znów przemówiła.

– Burza to ty. Jest ci posłuszna.

Sapphire próbowała odciąć się od tego głosu, tajemnicze słowa tylko podsycaly jej panikę.

Trzy kroki. Tyle potrzebowała, by dotrzeć do dziewczyny. Cienie rozstały się lekko i Sapphire znalazła się na tyle blisko, że mogła dostrzec jej sylwetkę. Żołądek ścisnął jej się na myśl, że z tak niewielkiej odległości ma oglądać trafienie pioruna, słyszeć, jak pod wpływem wyładowania elektrycznego pękają kości.

Zobaczyła wyłaniającą się z cieni bladą rękę. Huk gromu wypełnił powietrze. W akcie desperacji i grozy Sapphire skoczyła w stronę dziewczyny. W chwili, gdy ich dłonie się zetknęły, uderzył piorun – i cały świat poczerniał.

Kiedy Sapphire się ocknęła, jej zmysły zalała piżmowa woń ogniska. Mimo żalostnego stanu pryczy to, na czym teraz leżała, jakimś cudem okazało się jeszcze mniej wygodne.

Jęknęła i potarła dłonią oczy, rozglądając się dokoła.

Nie dostrzegła nieszczelnych okien, wpuszczających zbyt wiele zimowego powietrza ani rzędu łóżek, z których już dawno wszystkie wyrosły, ani Martii wrzeszczącej, że już się spóźniły z wykonaniem porannych obowiązków. To nie był Dom.

Świat wokół niej mienił się kolorami. Otaczały ją wielkie, wysokie płaskowyże i kotliny z jasnego kamienia w różnych odcieniach głębokiej czerwieni, brązów i pomarańcza. Zupełnie nie przypominało to Witroteanu.

Dźwignęła się z ziemi i wstała. Zmiłujcie się, Święci, nic tu nie wyglądało, jak trzeba. Z ust Sapphire uleciało ciche westchnienie ulgi, gdy poczuła na biodrze znajomy ciężar sztyletu. Wybrała przypadkowy kierunek i ruszyła naprzód.

Stara, zaimprovizowana koszula nocna, okrywająca jej wychudzone ciało, była zniszczona i podarta. Martia się wścieknie. Nie miała też butów – na litość, może już nigdy nie wróci do Domu.

Nie dostrzegała żadnych wskazówek, żadnej wyraźnej ścieżki. Nadal szła naprzód – skręciła w prawo... potem w lewo... lecz nic nie wyglądało znajomo.

Po jakiejś mili nogi zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa. Bose, poranione stopy pozostawiały za nią dwa rzędy krwawych śladów.

W rozpaczy omal nie przeoczyła poruszenia po lewej – omal. Szybko ukryła się za wysokim drzewem, wyglądając zza pnia, aby lepiej widzieć.

Ciemnoskóra dziewczyna, na oko w wieku Sapphire, siedziała na kocu, wyciągając przed siebie nogi, i czytała. Lekko rozchyliła usta, brwi zmarszczyła w skupieniu, pospiesznie przewracając kartki, zatopiona w lekturze.

Sapphire przyglądała jej się jeszcze kilka chwil, patrząc, jak tamta uśmiecha się do książki z taką niewinnością, iż ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

Odwrociła wzrok, niezdolna znieść myśli, że nie zdoła zapobiec temu, co ma się wydarzyć; przekonana, że to tylko kolejna wizja – kolejna osoba, której nie uda jej się ocalić. Sapphire cofnęła się o krok, próbując pozbierać myśli, ale natrafiła na duży kamień i omal nie upadła.

Dziewczyna, słysząc hałas, szybko zatrzęsnęła książkę, zerwała się na równe nogi i zaczęła się gorączkowo rozglądać, aż w końcu odnalazła wzrokiem Sapphire. Jej twarz o wytwornych rysach zdradzała zaciekawienie i strach. Sapphire podziwiała jej urodę, gdy jednak spojrziała tamtej w oczy, wzdrygnęła się na widok tęczówek płonących czerwienią jaskrawą niczym żar na dogasającym palenisku.

Przyciskając mocno do piersi książkę, dziewczyna zrobiła ostrożnie krok w stronę Sapphire.

Panika.

Sapphire świetnie знаła swoje wizje. Nawiedzały ją w najróżniejszych momentach dnia i nocy. Przystosowała się, nauczyła ich na pamięć, ale to... to zupełnie nie przypominało żadnej z nich. Ofiara nigdy nie podeszła tak blisko. Sapphire cofnęła się o krok i zaczęła macać w poszukiwaniu sztyletu. Zamrugnęła kilka razy, próbując przywyknąć do gorącego słońca z tyłu głowy, ciepłego wietrzyku, który wydawał jej się taki obcy.

– Kim jesteś? – Głos dziewczyny zabrzmiał spokojnie.

Sapphire nie chciała odpowiedzieć.

– Co tu robisz? – Wargi dziewczyny drgnęły. Gdy Sapphire znów nie odpowiedziała, tamta westchnęła ciężko. – Jestem Evera. – Zmniejszyła dzielący je dystans o kilka cali. – A teraz powiedz, proszę, jak masz na imię? Co tu robisz... w takim stroju? Cokolwiek?

Sapphire odetchnęła głęboko.

– To wszystko zależy – odparła.

– Od? – naciskała Evera. Zaciekawienie wyraźnie zwyciężyło z ostrożnością.

– Od tego, gdzie właściwie teraz jestem.

Wyraz twarzy Every uległ zmianie, ale nie cofnęła się.

– Jesteś na polach Aleburnu.

– Aleburnu?

– Tak, na terytorium południowo-zachodnim.

– Czego?

– Królestwa Eriobis, rzecz jasna.

– Er-i-o-bis? W życiu nie słyszałam.

Evera odetchnęła głęboko, powoli, po czym zbliżyła się o kilka kroków. Jej twarz wykrzywał skupiony grymas, ale gdy ujrzała oczy Sapphire, kąciki ust opadły.

– No co? – Sapphire przybrała pozycję bojową, jej palce tańczyły na rękojeści sztyletu.

– Twoje... twoje oczy są... – Evera umilkła. – Skąd dokładnie jesteś?

– Z Witroteanu.

– Nigdy nie słyszałam o takim miejscu.

Evera pokręciła głową i tym razem to Sapphire poczuła się oszłamiona. Ostry ból przeszył jej dłoń i zerknęła na przecinającą ją bliznę, czerwoną i wypukłą.

Chciała, żeby ta wizja się skończyła.

Sięgnęła po rękę dziewczyny w nadziei, że kontakt zakończy koszmar, tak jak wcześniej, lecz w mgnieniu oka z dłoni Every wystrzelił płomień.

Sapphire szybko odskoczyła, potykając się o kamień za plecami. Jęknęła, ciężko lądując na ziemi, choć jej oczy ani na moment nie odebrały się od tańczącego płomienia.

Evera jeszcze przez kilka chwil przyglądała jej się w skupieniu, po czym zgasiła ogień.

– Wybacz, sądziłam, że chcesz...

– Cię zaatakować? – Sapphire wstała i otrzepała ziemię z koszuli nocnej. – No cóż, gdybym nawet miała taki zamiar, to teraz z pewnością już tego nie zrobię.

Usta Every wygięły się w lekkim uśmiechu.

– Do jakiego żywiołu należysz?

– Żywiołu?

– Tak. Ja oczywiście jestem Ogniorodna. A ty?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Dobrze się czujesz? Może uderzyłaś się w głowę i masz problemy z pamięcią?

– Tam, skąd pochodzę, ludzie nie potrafią ot tak rozpalać ognia na dłoni.

Oczy Every pojaśniały.

– Jesteś śmiertelniczką?

Śmiertelniczką. Sapphire słyszała to słowo jedynie podczas dyskusji na temat Bestii i ich ofiar. Strach znów powrócił, gdy pojęła, że być może znalazła się w obecności potwora. Owszem, była śmiertelniczką, a śmiertelnicy giną, gdy znajdują się w obecności potwora.

– Ja...

– Ale jeśli jesteś śmiertelniczką, nie mogłabyś przełamać bariery. Jak tu trafiłaś?

– Właśnie próbuję to ustalić.

– To nie ma sensu.

Sapphire omal się nie roześmiała – w końcu coś, co do czego mogły się zgodzić! – ale strach sprawił, że śmiech zamarł jej w gardle.

Zapadła krępująca cisza, w końcu to Evera przemówiła pierwsza.



- Chyba powinnaś pójść ze mną.
  - Sama sobie po...
  - Jesteś na bosaka i w nocnej koszuli – rzuciła tamta, ponownie omiatając wzrokiem dziewczynę. Jej oczy złagodniały, błysnęło w nich współczucie. – Moja matka ci pomoże.
- W głowie Sapphire zadźwięczał głos Martii: nigdy nie ufaj nieznanym, moja droga, lasy są pełne stworzeń zrodzonych z kłamstwa.
- Potrzebuję tylko ubrania na zmianę, a potem sobie pójdę.
- Evera przytaknęła.
- Tak, oczywiście. Chodź za mną.

\* \* \*

Sapphire miała wrażenie, że wędrują całe mile, promienie gorącego słońca sprawiły, że zaczęła dyszeć. Evera co chwila oglądała się z niepokojem, prowadząc ją do domu. W końcu ujrzały przed sobą rzędy kamiennych budynków: wioskę kipiącą życiem. Lecz Evera wybrała ścieżkę, która ją omijała. Po prawej miały duży wąwóz, w dole połyskiwała woda. Dalej wyrastała niewiarygodnie wysoka góra, z której czubka tryskał ogień.

W końcu przewodniczka skręciła w stronę małego kamiennego domku wyglądającego identycznie jak paręset wcześniejszych, które minęły. Evera przystanęła przy bramie i posłała Sapphire niezbyt przekonujący uśmiech.

– Zaczekaj tu chwilkę. Muszę dać znać matce, że jesteś.

Sapphire patrzyła, jak tamta znika za szarymi drzwiami. Usilnie starała się zachować spokój, cały czas przesuwając palcem po bliźnie na dłoni. Minęło kilka minut, nim Evera znów się pojawiła, prowadząc starszą wersję siebie. Oczy kobiety, identyczne z oczami córki, lśniły czerwienią, spoglądając z troską, brakowało im jednak łagodności Eavery.

Przez jedną przelotną chwilę Sapphire zastanawiała się, jak daleko poniosłyby ją poranione i pokryte pęcherzami stopy, gdyby zaczęła uciekać.

– Witaj. Na imię mam Lelani. Córka mówi, że masz pewien problem.

Sapphire spojrzała w oczy Lelani i kobieta z trudem ukryła wzdrygnięcie. Sapphire zauważyła, jak tamta lekko odpycha Everę, zasłaniając ją własnym ciałem.

– Jak już wyjaśniłam pani córce, potrzebne mi tylko ubranie na zmianę. Potem mogę pójść swoją drogą.

Lelani dwukrotnie zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

– Jesteś wykończona.

Sapphire zaczęła coś mówić, lecz kobieta uniosła rękę, by ją uciszyć.

– Jesteś wykończona i masz pokaleczone stopy. Może wejdiesz do środka, odpoczniesz i spróbujemy coś na to zaradzić, dobrze?

Sapphire chciała odmówić. Nie chciała korzystać z życzliwości nieznanym. Lecz gdy rozejrzała się po wiosce, pojęła, że nie wie, dokąd pójść. Potrzebowała butów i wody, o czym przypomniał piekący ból w gardle. Skinęła zatem głową i kobieta pozwoliła jej przejść przez furtkę. W domku Evera poprowadziła ją do niewielkiego stolika, wysunęła stóelek, a potem ruszyła schodami na górę. Lelani dołączyła do Sapphire, zerkając na nią podejrzliwie.

– Jak masz na imię? – spytała.

Sapphire zagryzła wargę, zastanawiając się, czy rozsądnie będzie ujawnić coś więcej na swój temat, ale zmęczenie zadecydowało: musiała im zaufać, choć wiedziała, że nie powinna.

– Sapphire.

– Zatem, Sapphire, możesz mi powiedzieć, jak natknęłaś się na moją córkę?

– Próbowałam tylko wrócić do domu – warknęła Sapphire tonem bardziej defensywnym niż zamierzała.

– A gdzie jest twój dom? – podjęła Lelani z nieprzeniknioną miną, wyraźnie niewzruszona.

– W Witroteanie.

– Nigdy nie słyszałam o Witroteanie.

Ton jej głosu dobitnie świadczył, co myśli: kłamiesz.

Mimo to odpowiedź mocno wstrząsnęła Sapphire. Witrotean, piekielny kraj, rozdarty wojną, dla niej był jednak jedynym domem, miejscem, w którym dorosła i, co najważniejsze- miejscem, w którym umiała przetrwać.

– Jak możesz nie... – słowa uwięzły jej w gardle, mięśnie przełyku zacisnęły się drobnymi spazmami z pragnienia.

Lecz Lelani nawet nie drgnęła, by jej ulżyć.

– Czy możesz nam powiedzieć coś jeszcze? Cokolwiek, dzięki czemu mogłybyśmy ci pomóc? – naciskała.

Sapphire rozważyła jej pytanie, ale widząc ostrożną minę kobiety, pojęła, że to nie czas na szczerość.

– Nie.

Lelani zacisnęła mocno wargi, jej oczy się zwęziły. Nim jednak matka mogła podjąć przesłuchanie, Evera znów się pojawiła, trzymając w dłoni stos ubrań. Sapphire wstała gwałtownie. Czuła, że musi uciec przed spojrzeniem kobiety.

– Łazienka?

– Drugie drzwi po lewej – odparła Evera z lekkim, szczerym uśmiechem, podając jej naręczę ubrań.

Gdy tylko Sapphire usłyszała szczęknięcie zamykanych drzwi, poczuła jak coś w niej pęka. Szybko przytrzymała się chłodnej miski, by nie upaść. Pojedynczy szloch wstrząsnął jej ramionami, a potem usłyszała dobiegające zza drzwi szepty.

– Musimy ją zabrać do królestwa, Evero. Nie mamy pojęcia, kim jest ani jakie ma zamiary.

– A nie możemy zrobić tego jutro? W tej chwili praktycznie pada z nóg.

– Nie. Ty też słyszałaś pogłoski o Uroczyску, Evero. Widziałaś jej oczy. Lękam się, że...

Głosy stały się jeszcze cichsze, a Sapphire podeszła do lustra. Wszystkich strasznie interesowały jej oczy – i gdy ujrzała własne odbicie, pojęła dlaczego. Choć zwykle były barwy kasztanów, teraz jaśniały

jaskrawym fioletem. Potykając się, odskoczyła od lustra, próbując pozbierać się do kupy.

To niemożliwe.

Oczy tak po prostu się nie... zmieniają, zwłaszcza na kolor równie nienaturalny i niepokojący. Kilka razy odetchnęła głęboko, a potem zebrała w sobie dość odwagi, by znów się przejrzeć. Fiolet wciąż tam był. Zamrugęła, nakazując mu zgasnąć, lecz nic się nie zmieniło – i kiedy tak patrzyła, nie mogąc oderwać wzroku, poczuła w kościach dławiący strach.

Zastygła na jakiś czas, aż w końcu ciche pukanie wyrwało ją z transu.

– Sapphire? Nic ci nie jest? – W głosie Every pobrzmiwała troska.

– Jedną minutkę, dobrze?

Pospiesznie naciągnęła na siebie dziwny strój, który dostała od dziewczyny. Najwyraźniej uszyto go z jakiejś grubej skóry. Była zbyt wysoka na górną część, przez co całość nie do końca pasowała, ale to i tak lepsze niż lachmany, które miała na sobie. Gdy w końcu wróciła do głównej izby, Evera sięgnęła po jej nocną koszulę, ale Sapphire chwyciła ją pierwsza.

– Muszę to zatrzymać.

Tamta przytaknęła, szybko cofając się w stronę matki. Sapphire wiedziała, że nie może stracić koszuli, w której sypiała niemal dwa lata. Martia nigdy nie dałaby jej drugiej.

– Sapphire, sumienie nie pozwala mi po prostu wypuścić cię samej, żebyś błąkała się po Aleburnie. Może pozwól, abyśmy odprowadziły cię do Astralu, miasta królowej? Naprawdę wierzę, że rodzina królewska pomoże ci znaleźć drogę do domu. Z całą pewnością pomogą bardziej niż ktokolwiek inny.

Sama wzmianka o innych sprawiła, że Sapphire się nastroszyła.

– Nie. To nie będzie konieczne.

Lelani skrzywiła się.

– Obawiam się, że to bardziej żądanie niż propozycja. Muszę załatwić parę spraw, ale za kilka godzin ruszamy w drogę.

Nie pozwoliła jej protestować, kierując się prosto na górę.

– Lepiej, żebyśmy my zabrały cię do królestwa, niż żeby strażnicy cię znaleźli – powiedziała Everta, gdy zostały same.

– Czemu mieliby zwracać sobie mną głowę? Nie zrobiłam nic złego.

– Technicznie pewnie nie. – Everta poruszyła się niespokojnie. – Ale twoja obecność tutaj to nieco większa sprawa, niż może ci się wydawać.

Sapphire poczuła, że ogarnia ją złość.

– Czyli od początku taki miałaś plan? Sprowadzić mnie tutaj tylko po to, aby oddać zbrojnej straży.

– Oczywiście, że nie! Ja nigdy... po prostu martwiłam się o ciebie. Wyglądałaś na taką zagubioną. Chciałam pomóc.

– I co się zmieniło?

Everta lekko oklapła.

– Moja matka jest nieco ostrożniejsza ode mnie.

– Nie zauważyłam – prychnęła Sapphire.

Ku jej zdumieniu Everta parsknęła śmiechem.

– Ma dobre chęci. Po prostu chroni to, co zostało z jej rodziny. Musisz to zrozumieć.

Słowa te zapiekły Sapphire gdzieś od środka.

– Nie wszyscy z nas mają luksus posiadania rodziny, a co dopiero matki równie groźnej jak twoja.

– Och, tak mi przykro... – Głos Everty zabrzmiał szczerze. – To nie było sprawiedliwe spodziewać się, że...

Sapphire poczuła, że jej gniew nieco słabnie.

– Nie szkodzi. – Obejrzała się w stronę łazienki. Nagle przypomniała sobie, co poczuła, widząc własne oczy, wspomniła cichy głos Lelani i to, że mimo obaw Everta potraktowała ją życzliwie, nie oczekując niczego w zamian. Westchnęła. – Moje oczy... zwykle nie są takiego koloru.

Jej towarzyszka zmusiła się do uśmiechu.

– Są całkiem ładne. Pasują do ciebie.

– Wyglądam z nimi jak obłąkana.

Na te słowa Evera zaśmiała się głośno i choć dłoń Sapphire wciąż spoczywała na pochwie sztyletu, ona sama poczuła, że rozluźnia się lekko na ten dźwięk, że przynosi jej spokój. Chociaż na chwilę.